



ALEKSANDRA ROCHOWIAK

W CIENIU
NADWIŚLAŃSKICH
DRZEW

FILIA

ALEKSANDRA ROCHOWIAK

**W CIENIU
NADWIŚLAŃSKICH
DRZEW**

FILIA

Wszystkim, którzy tęsknią

Prolog

Zanim się odwrócił, posłał jej ostatnie, rozczarowane spojrzenie. Jeszcze kilka minut temu było pełne pasji, a teraz? Mogła dostrzec w nim jedynie nutę bólu, przyprószoną olbrzymią porcją gniewu. Nigdy nie widziała go w takim stanie. Nienawidził jej, co do tego nie miała żadnych wątpliwości. A ona, mimo iż oddała mu całe swoje serce, w tamtej chwili nienawidziła go równie mocno. Chciała go zranić. Chciała, żeby poczuł się tak jak ona, dlatego powiedziała wiele rzeczy, których nie powinna. Które nie miały w sobie ani krztyny prawdy.

Jedną dłoń zacisnął w pięść, a drugą potarł się po obciętej krótko szczecinie. Milczał, a jednak odniosła wrażenie, że jego postawa wręcz krzyczała.

Wypowiadane przez nią kolejno słowa uderzały w ścianę jego obojętności, odbijając się od niej i godząc w jej pierś rykoszetem. Jego otępienie było największą karą. Nie dopuszczał jej do siebie, tylko zaciskał powieki i kręcił głową. A może po prostu wolał udawać, że nie słyszy, by nigdy więcej nie musieć spojrzeć jej

w twarz po tym, jak pogruchotał jej kruche serce? Po tym, jak pogruchotali je sobie wzajemnie, choć zaledwie wczoraj przyrzekli, że przetrwają wszystko...

Bo ich miłość była wszystkim.

On był wszystkim.

A teraz odszedł, nie zaszczycając jej nawet ostatnim spojrzeniem.

Zdruzgotana przygryzła wewnątrz policzka i pobiegła ile sił w nogach w stronę lasu. Potykała się o korzenie wystające z ziemi pokrytej igłami i liśćmi. Z trudem łapała oddech. Gdy zostawiła zarośla za sobą, na nierównej powierzchni popękanego asfaltu odbijał się stukot zdarzonych obcasów. Lniana sukienka odkształcała się od pędu wiatru, a z nieba zaczynały spadać pierwsze krople majowego deszczu. Piekły ją oczy, a klatka piersiowa paliła żywym ogniem.

Zostawił ją.

A może to ona zostawiła jego...?

Rozdział 1

Lato 2013

Lidka wyszła z domu przed dwiema godzinami, jednak mimo ciężącego nad nią poczucia winy nie umiała się zmusić do powrotu. Jeszcze nie. Nie mogła nic na to poradzić. Lubiła chodzić na długie spacerory. Takie, które nigdy nie miały wyznaczonego celu, a zarazem prowadziły ją do miejsc, które tak dobrze знаła. Z którymi wiązały się jakieś wspomnienia. Niekoniecznie dobre. Już dawno uświadomiła sobie, że wszystko, co wydarzyło się w jej życiu, musiało mieć przecież jakieś znaczenie. Może jeszcze nie każde z nich odkryła ani nie wszystko zrozumiała, ale wiele przebytych doświadczeń pokazało jej zarówno słodycz szczęścia, jak i gorzki, przepełniony bólem smak cierpienia, ucząc ją przy okazji pokory. W każdym razie spacerory to był jej codzienny rytuał. Chwila tylko dla niej. Czas, w którym mogła pozwolić wędrować nie tylko swojemu ciału, ale i myślom.

Odziana w letnią, zwiewną sukienkę szła wzdłuż Wiśły, obserwując gęsty las po jej drugiej stronie. Gałęziami

pyszniącymi się soczystozielonymi liśćmi leniwie poruszał lekki, ciepły wiatr. Wdychała ich kojącą woń, wylaływała nieśmiały szelest, a śpiew skrytych wśród nich ptaków stanowił jeden z najpiękniejszych akompaniamentów, jakie mogłaby sobie w ogóle wymarzyć. Co jakiś czas napotykała po drodze siedzącą nad brzegiem rzeki młodzież, korzystającą z wszelkich dobrodziejstw, jakie dawały jej ostatnie dni wakacji. Słuchali muzyki, czasem palili papierosy albo ukradkiem popijali piwo, licząc, że tym razem uda im się wywinąć patrolowi policji. Niektórzy kryli się w zaroślach, jeszcze inni spędzali czas na opuszczonej przed dwiema dekadami żwirowni w sercu lasu. Czasem jej nogi, wbrew rozsądkowi, prowadziły ją właśnie na tę plażę, jak mówili o niej miejscowi, a wtedy przypominała sobie okres, w którym tak jak ci młodzi spędzała tam jedne z najwspanialszych chwil, wystawiając twarz do słońca i odurzając się ziemistym zapachem mchu i sosen. Nie trwało to długo, jednak nie ulegało wątpliwości, że był to najcudowniejszy okres w jej życiu.

Dotarłszy do końca ciągnącej się wzdłuż Wisły alejki, Lidka minęła pamiętający czasy komuny pasaż handlowy, pozdrowiła znajomą krawcową, która odliczała minuty do zamknięcia zakładu, i skręciła w ulicę obok szkoły, do której niechętnie uczęszczała, gdy była dzieckiem. Nigdy nie lubiła się uczyć, dlatego kierunek, w którym ostatecznie podążyła jej edukacja, a później kariera, okazał się niemałym paradoksem.

Minąwszy podstawówkę, szybkim krokiem dotarła do kościoła, potem do cmentarza, a gdy już miała zakończyć przechadzkę i najkrótszą możliwą drogą wrócić na osiedle, na którym mieszkała od urodzenia, w ostatniej chwili zmieniła zdanie i odbiła w lewo, by jak najdłużej cieszyć się samotnością i piękną pogodą. Serce prowadziło ją do centrum Wykuszewa.

Słońce powoli chyliło się ku zachodowi, kiedy weszła na wyłożony czerwoną kostką brukową deptak. Mimo dość późnej pory i w większości pozamykanych lokali i sklepów wciąż kręciło się po nim całkiem sporo ludzi. Rodzice spacerowali za rękę z małymi dziećmi, starsze dzieciaki ścigały się na rowerach i hulajnogach, pędząc slalomem między kilkoma drzewami rozmieszczonymi po zewnętrznych stronach placu. Gdzieś w oddali szczełkał pies, a dwie staruszki siedzące na drewnianej ławce żywo dyskutowały na temat wczorajszej porannej mszy.

Gdy tak rozglądała się po znanych budynkach i niekiedy też twarzach, wymieniając grzecznościowe powitania, po raz chyba tysięczny doszła do tego samego wniosku: choć świat pędził do przodu, to tu, w tym małym mieście, czas stanął w miejscu. Zatrzymał się, a ona wraz z nim, i ani myślała kiedykolwiek ruszyć. Taka była smutna prawda. Utknęła. I nie planowała też nigdy się stąd wydostać.

Od urodzenia mieszkała w miasteczku tak małym, że właściwie dziwiła się, że ktoś w przeszłości postanowił

nadać mu prawa miejskie. Jego nazwa nigdy nikomu nic nie mówiła, a mieszkańcy okolicznych wiosek kojarzyli je tylko dlatego, że na terenie tej zapomnianej miejscowości wciąż mieściła się jednostka wojskowa specjalizująca się w budowie mostów pontonowych. Pociągi przejeżdżały przez jej obrzeża, nie zatrzymując się na żadnej stacji, a autobusy kursowały tylko dwa razy dziennie.

Czy więc Lidka utknęła tu dlatego, że lubiła ten małomiasteczkowy klimat i subtelnie wyczuwalne zacofanie? Oczywiście, że nie. Ale po trzydziestu latach grzęźnięcia w mieliźnie straciła motywację, by kiedykolwiek próbować się z niej wygrzebać.

Obeszła deptak dookoła, ciesząc się wyjątkowo spokojnym sierpniowym wieczorem. Oddychała ciepłym powietrzem i rozkoszowała się odgłosami szycującego się do snu Wykuszewa. Przydrożne latarnie rozświetliły pograżające się w wieczornym mroku ulice, a rozpalone w oknach pobliskiej kamienicy światła dodawały okolicy odrobinę blasku i przytulności. Lidka minęła niewielki ryneček, na którym w każdą środę zaopatrywała się w świeże warzywa i ryby, pozdrowiła parkingowego, który pilnował placu przed miejską pływalnią, i zatrzymała się na wprost wybudowanej dwa lata temu galerii handlowej. W środku wciąż kręciło się kilkoro zagubionych klientów, a mimo to większość sklepów świeciła pustkami. Jak zawsze zresztą. Ani dzień tygodnia, ani pora dnia nie miały większego wpływu na liczbę

potencjalnych kupców. Miejscowi woleli wspomagać lokalnych, małych przedsiębiorców niż popularne w całym kraju i na świecie sieciówki. Kobieta zawsze się zastanawiała, czy otwarcie galerii w tak małym mieście było w ogóle opłacalne. Przecież młodzi zaraz po skończonej szkole uciekali do stolicy albo innych większych miejscowości. Starzy nie mieli po co tam zaglądać, a jej rówieśnicy, choć zostało ich tu naprawdę niewielu, raczej nie mieli pieniędzy, by robić co tydzień zakupy w takim miejscu.

Obrzuciła szklaną budowlę ostatnim spojrzeniem i już miała zawrócić w kierunku swojego osiedla, kiedy za drzwiami wejściowymi do galerii mignęła jej znajoma twarz.

Twarz, która odcisnęła swój obraz w najgłębszych zakamarkach serca Lidki. A odchodząc, zabrała ze sobą olbrzymią jego część.

Jej ciało przeszył prąd. Płuca zdawały się płonąć, a gardło zacisnęło się boleśnie.

Ale przecież... to niemożliwe. To nie mógł być on, wmawiała sobie.

Wiedziała, że jej podejrzenia były irracjonalne, a mimo to, nie chcąc tracić ani sekundy lub, co gorsza, żałować później podjętej przez siebie decyzji, wiedziona impulsem wpadła do środka, potykając się o własne stopy i z trudem łapiąc równowagę.

Na miękkich nogach podążała śladem mężczyzny, trzymając się w bezpiecznej odległości. Otaczające ją oszklone witryny i lśniąca posadzka pod jej stopami

przestały istnieć. Teraz całą uwagę skupiła na jego szerokich, odzianych w lnianą koszulę plecach, krótko przystrzyżonych jasnych włosach i palcach zaciśniętych na dłoni małej, blondwłosej dziewczynki. Miała nie więcej niż pięć lat. Ubrana w kraciatą spódniczkę i błękitną koszulkę, podskakiwała radośnie, opowiadając o czymś z olbrzymim zaangażowaniem. Jej wysoko zawiązany kucyk unosił się i opadał wraz z każdym kolejnym skokiem, a rozemocjonowane duże oczy wpatrywały się w profil towarzyszącego jej mężczyzny. Chichotała i przekrzywiała główkę, nie dostrzegając mijających ich przechodniów. W pewnym momencie zmarszczyła nosek i wskazała przed siebie palcem. A wtedy on odwrócił się do dziewczynki i obdarzył ją szerokim, pełnym ojcowskiej miłości uśmiechem. Lidka dostrzegła, że jego twarz była jak wykuta z marmuru. Wydawało jej się, że nie odcisnął się na niej nawet najmniejszy ślad upływającego czasu i choć od ich ostatniego spotkania minęło dziesięć lat, Lidka poczuła się, jakby rozstali się zaledwie wczoraj.

Olbrzymich rozmiarów balon zaczął rozpierać jej pierś, wyciskając z płuc wszelkie zapasy powietrza. Omal nie krzyknęła, z trudem odzyskując panowanie nad płytym, drżącym oddechem. Nakryła usta dłonią.

Ale przecież to nie mógł być on, przekonywała się w myślach.

Nieproszone łzy łaskotały Lidkę pod powiekami, coś gniotło jej krtań.

Ten widok rozdrapał wciąż niezabliźnione rany i ugodził ją prosto w udęczone poczuciem winy serce.

To nie mógł być on.

Dlaczego więc stała sparaliżowana na środku galerii i zalewała się łzami?

Rozdział 2

Jesień 2002

– Wróć dziś wcześniej – powiedziała głośno Lidka, stawiając na stoliku w kuchni przygotowane śniadanie. – Dzieciaki mają dziś pasowanie i rodzice odbierają je zaraz po występie.

Matka podniosła oczy znad gazety i uśmiechnęła się do niej ciepło. Lidka była pewna, że kobieta nie usłyszała przynajmniej połowy z tego, co próbowała jej przekazać. Ze słuchem Barbary Wróblewskiej było coraz gorzej, a ta z uporem maniaka nie zgadzała się na wizytę u lekarza.

Lidka zarzuciła na plecy lekki wełniany płaszczyk do kolan i wsunęła stopy w pantofle na niewysokim obcasie, posyłając ostatnie spojrzenie rodzicielce. Ta siedziała zgarbiona w starym, połatanym fotelu i drżącą dłonią sięgała po kanapkę z twarogiem. Jej córka odniosła wrażenie, że z każdym dniem na twarzy kobiety przybывało zmarszczek, a ciemne, spięte w ciasny koczek włosy powoli zaczynały przybierać odcień popiołu.

Barbara późno została matką. Przez wiele lat jej mąż nie zgadzał się na to, by powiła mu potomka. Właściwie nigdy nie chciał o tym słyszeć. Jakież było jej zdziwienie, kiedy w wieku czterdziestu sześciu lat ginekolog poinformował ją, że nosi pod sercem drugie życie. Swoje upragnione dziecko. Lidkę.

– Dasz radę odgrzać sobie obiad? – krzyknęła jeszcze, zanim wyszła za próg ich niewielkiego mieszkania, na które składały się dwa pokoje, korytarz, łazienka i mała kuchnia. Wystrój był skromny, ale przytulny. Kwieciste tapety na ścianach utrzymane były w ciepłej kolorystyce, a drewniana boazeria w wąskim korytarzyku i kuchni zawsze kojarzyła się Lidce z domkiem z bajki.

– Słucham? – mruknęła Wróblewska, wciąż wpatrując się w gazetę.

– Obiad. Odgrzejesz sobie? Czy poczekaasz na mnie?

Barbara skinęła nerwowo głową, zaciskając usta w wąską linię. Wyglądało na to, że nie miała pojęcia, co powiedziała do niej Lidka. Dziewczyna podeszła do znajdującej się w pokoju matki komody, na której stał telewizor. Wyciągnęła z niej zeszyt i na pustej stronie zapisała krótką notatkę:

WRÓCĘ WCZEŚNIEJ. POCZEKAJ NA MNIE Z OBIADEM.

– Poczekaaj, dobrze? – poprosiła, podsuwając jej kartkę pod nos.

– Poczekaam – odparła zmieszana Barbara.

Kobiecie było wstyd, że coraz częściej musiały komunikować się w ten sposób. Ale czy miały inny wybór,

skoro kategorycznie odmawiała wyjścia do miasta i wizyty u specjalisty? Twierdziła, że nikt jej nie pomoże, ale córka wiedziała, że przede wszystkim szkoda jej pieniędzy, których miały naprawdę niewiele, a ponadto nie chciała narażać się na pełne litości spojrzenia dawnych znajomych.

Barbara Wróblewska nigdy nie pracowała. Odkąd tylko została mężatką, zajmowała się mieszkaniem, a później córką. To jej mąż, Przemysław, był żywicielem rodziny. Żołnierzem, po którego śmierci przysługiwała jej wojskowa renta. Od kilku miesięcy Lidka dokładała się do domowego budżetu, jednak rosnący czynsz za mieszkanie, artykuły pierwszej potrzeby czy niespodziewane wydatki nie pozwalały im nawet na drobne przyjemności. Lidka mimo to starała się odłożyć co miesiąc niewielką kwotę na czarną godzinę. Wiedziała, że kiedyś nadejdzie dzień, w którym jej matka będzie musiała schować dumę do kieszeni i poddać się szczegółowej diagnozie.

Dziewczyna kątem oka spojrzała na zegarek wiszący na ścianie w korytarzu. Jeśli natychmiast nie wyjdzie z domu, spóźni się do pracy. Ucałowała matkę w czubek głowy pachnącej szamponem z pokrzywy i wybiegła na klatkę schodową.

Wyszła przed blok, owinęła szyję chustą i ruszyła przed siebie. Słońce skryło się za gęstą warstwą chmur, a zimny jesienny wiatr podrywał poły jej płaszcz, liżąc odziane w cieliste rajstopy łydki. Od przedszkola,

w którym pracowała, dzieliły ją dokładnie dwadzieścia dwie minuty drogi i miała nadzieję, że do tego czasu pogoda nie spłata jej figla i nie zaskoczy deszczem. Kiedy mijiała jednostkę wojskową, znajdującą się w sąsiedztwie jej kameralnego osiedla, widziała poborowych biegających po placu przeznaczonym do ćwiczeń, którzy reagovali na polecenia wykrzykiwane przez jakiegoś wysokiego rangą żołnierza. Młodzi, ogoleni na łyso chłopcy przebiegali nogami w równym, nieprzerwanym tempie, nie mogąc liczyć na najmniejszą taryfę ulgową. Krążyli wokół budynków z czerwonej cegły, pokrytych eternitem, przebiegali obok ustawionych na parkingu wojskowych aut i przeskakiwali nad ułożonymi na trasie biegu okopami z worków wypełnionych piachem. Słyszała ich urywane oddechy, nerwowe splunięcia, a przede wszystkim głośny tupot ciężkich kamaszy. Ich mundury polowe, mimo charakterystycznego odcienia zieleni, teraz były blade od kurzu, a twarze mokre od potu, którym spływali od trwającej dobry kwadrans zaprawy¹.

Lidka dotarła do skrzyżowania dzielącego ją od ostatniej prostej, którą musiała pokonać, by znaleźć się w miejscu pracy. Zgodnie z zasadami ruchu drogowego spojrzała w lewo, a następnie w prawo, kiedy jej oczom ukazał się pierwszy z czterech wielkich samochodów terenowych wiozących kolejnych poborowych

¹ Zaprawa poranna – poranne ćwiczenia w wojsku mające na celu rozgrzanie ciała.

CO TAKIEGO WYDARZYŁO SIĘ DZIESIĘĆ LAT TEMU W CIENIU NADWIŚLAŃSKICH DRZEW?

Lidka od dziesięciu lat nosi w swoim sercu żal, którego ciężar nie pozwala ruszyć jej naprzód. Kiedy pewnego dnia, dostrzega mężczyznę, o którym już dawno powinna zapomnieć, bolesne wspomnienia przybierają na sile. Jako dziewiętnastolatka, zakochuje się w Sebastianie, rekrucie odbywającym służbę wojskową w jednostce mieszczącej się na terenie położonego nad Wisłą Wykuszewa.

W czasie, gdy uczucie młodych przybiera na sile, Lidka musi mierzyć się z postępującym upośledzeniem słuchu matki, przyjaźnią zapatrzonego w nią Pawła oraz walczyć z demonami, które pozostawił po sobie jej ojciec – wojskowy tyran, pułkownik Przemysław Wróblewski. Sebastian natomiast próbuje odnaleźć się w wojskowej, brutalnej codzienności, nie tracąc przy tym pogody ducha.

**CZY MIŁOŚĆ OKAŻE SIĘ SILNIEJSZA NIŻ
STRACH, A GŁĘBOKO ZAKORZENIONE
UPRZEDZENIA ZNIKNĄ, GDY SERCE
PRZEJMIE KONTROLĘ NAD ROZSĄDKIEM?**

FILIA

cena 46,90 zł

FILIOTEKA.PL

Klub książki

ONA
CZYTA

Facebook.com/ONACZYTA

ISBN 978-83-8280-876-6



9 788382 808766